

Biogram Piotra Gawlicza (1911 – 1976)

Piotr Gawlicz urodził się w 1911 r. we wsi Smykowce k. Tarnopola, jako drugi syn Stanisława i Anny oraz brat Jana, Franciszka i Karoliny. Jego starszy brat Jan podczas kampanii wrześniowej 1939 r. dostał się do niewoli niemieckiej i przeżył okupację w obozie jenieckim k. Zgorzelca, nie zdejmując munduru żołnierza polskiego, natomiast po zakończeniu wojny i wysiedleniu z Kresów, osiadł we wsi Ślubów k. Góry na Dolnym Śląsku, gdzie w latach 60. tych zbudował bez zezwolenia władz cywilnych kaplicę mszalną, obecnie rozbudowaną jako kościół filialny parafii Kłoda Górowska, przy której został pochowany w lipcu 1981 r. Młodszy brat Piotra – Franciszek, jako gospodarz w Smykowcach, został wiosną 1936 roku zamordowany przez Ukraińców i pochowany tamże w grobowcu rodziny Gawliczów. Jedyna siostra Piotra – Karolina wyszła za mąż w 1943 r. w Tarnopolu za Władysława Lasockiego, z którym po deportacji jesienią 1946 r. zamieszkali w Świdnicy na Dolnym Śląsku i doczekali się 9 dzieci i 21 wnuków oraz wielu prawnuków (pierwszy ich syn – Aleksander zmarł jako niemowlę zimą 1943 roku, gdy podczas stojącego przez kilka tygodni w Tarnopolu (*Festung...*) frontu radziecko-niemieckiego, rodzina Lasockich zmuszona była stale przebywać w piwnicy domu).

Piotr Gawlicz po ukończeniu w latach 30. tych Gimnazjum oraz Seminarium Nauczycielskiego w Tarnopolu, uzyskał wykształcenie pedagogiczne i podjął pracę jako nauczyciel szkół wiejskich na ziemi tarnopolskiej, gdzie zapoznał i poślubił Zofię z d. Danilewicz, także nauczycielkę, która – jak sama pisze w swoich wspomnieniach z lat II. wojny światowej – cudem uniknęła zesłania na Sybir w okresie okupacji sowieckiej, ale wierna tradycjom patriotycznym i żołnierskim swej zacnej i wielodzietnej rodziny (m.in. brat ppłk Tadeusz Danilewicz, legionista, w latach okupacji był komendantem głównym NOW), Zofia prowadziła podczas II wojny działalność konspiracyjną w AK w obwodzie lwowskim, jako łączniczka i kolporterka prasy podziemnej oraz instruktorka sanitarna, a po śmierci męża Piotra w 1976 r. przeniosła się z Bartoszyca do syna Andrzeja mieszkającego w Sopot, gdzie m.in. prowadziła Kronikę AK tamtejszego koła.

Po wybuchu II wojny światowej i wkroczeniu 17.09.1939 r. armii czerwonej na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, Piotr zaangażował się w działalność konspiracyjną i m.in. sam zmontował odbiornik radiowy, aby śledzić ówczesną sytuację polityczną w świecie. Dnia 4.05.1940 r. został zdekonspirowany i aresztowany przez okupacyjne władze sowieckie, bowiem – wg ustnej relacji jego żony Zofii. – przy jakimś zmarłym z zimna łączniku znaleziono dokument z danymi personalnymi m.in. Piotra Gawlicza. Osadzony we więzieniu w Zborowie, a następnie sądzony w Tarnopolu, Piotr został skazany na 10 lat katorgi. Jak wspomina siostra Piotra Gawlicza – Karolina, moja Mama, po zakończeniu procesu wyprowadzono skutego Piotra z sali sądowej w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy sowieckich i nawet nie pozwolono się mu pożegnać z rodzicami, których potem już nigdy więcej nie zobaczył...

Zofia, żona Piotra, wspominając tamten czas po aresztowaniu i zesłaniu męża, mówiła, że gdy Piotr był już w łagrach na Kołymie, ojciec jego Stanisław Gawlicz, więzień cara Rosji w latach I. wojny światowej, stale modlił się za syna zesłańca i wspominając go płakał. Stawał często w milczeniu i ze łzami w oczach przy płocie, opierał się na łokciach zwrócony twarzą na Wschód i kiedy podchodziłam do niego, aby go pocieszyć, mówił: „*Ja go już nie zobaczę. Robiłem mu ogromną krzywdę, bo gdy wracał po lekcjach do domu, kazałem mu brać sierp, kosę czy motykę i wysyłałem do pracy w polu. To kiedy on miał się uczyć? Dopiero kiedy odwiedziłem Twój dom – żalił się dalej - i rozmawiałem z Twoim ojcem, zrozumiałem, że dzieci można inaczej traktować. Ty miałaś 7 km. do szkoły i mieszkałaś u SS Felicjanek, a Piotr miał 8 km. do Tarnopola do szkoły i szedł piechotą. Nigdy się na to nie skarżył... Błyszczał z prac ręcznych, bo rzeczywiście miał w rękach talent. Stale jako dziecko tutaj w*

Smykowcach budował mosty. Czemu ja go nie wykształciłem” ? - tak mówił do mnie ze łzami w oczach biedny ojciec mojego męża za niesłuszne winy. Bardzo było mi go żal. Darzyłam go szczerymi uczuciami i wielkim szacunkiem. On mnie lubił...- wspominała po latach moja Ciocia Zofia Gawlicz..

Miejscami zesłania Piotra były kolejno: Władywostok, Nachodka (obóz więźniów – skazańców), Magadan za Morzem Ochockim i w końcu obóz na Kołymie, gdzie cudownie uratowany od śmierci z głodu i zimna modlitwami swoich najbliższych – jak to sam Piotr podkreśla w swoich wspomnieniach – doczekał szczęśliwego dnia wolności 30.07.1941 r., kiedy to na mocy art. 4 układu Sikorski – Majski, mógł opuścić obóz na Kołymie i po długiej podróży na własną rękę dotrzeć dosłownie w ostatniej chwili do Armii gen. Wł. Andersa, z którą opuścił *niehumanitarną ziemię*... Kolejnymi etapami wędrówki do wolnej Ojczyzny Piotra „żołnierza zesłańca” był Irak (vide niżej zał. jego zdjęcie paszportowe z data 11.7.1943 r.), następnie Palestyna, skąd po przeszkoleniu i wcieleniu do 5 Kresowej Dywizji Piechoty 18 pp. oraz przetransportowaniu do Italii uczestniczył w bitwie pod Monte Cassino 11.05.1944 r., gdzie obsługiwał karabin maszynowy na Widmie i tam został ranny w nogę. Po wyleczeniu z ran Piotr uczestniczył w audiencji oficerów i żołnierzy polskich u Ojca św. Piusa II (vide niżej zał. zdjęcie po audiencji z Placu św. Piotra w Rzymie).

Po przetransportowaniu polskich żołnierzy z ziemi włoskiej do Anglii Piotr nie przyjął przedłożonej mu propozycji służby wojskowej w formacjach brytyjskich, jednak planował pozostanie na emigracji i ściągnięcie do siebie żony z dzieckiem, słusznie obawiając się w wypadku powrotu do ówczesnej, powojennej Polski szykan ze strony władz komunistycznych, bowiem – jak sam pisze – *widmo zesłania chodziło za nim jak cień*... Jednak wieść o poważnej chorobie 8. letniej już wtedy córki Basi, którą zostawił jako niemowlę idąc na zesłanie, kazała mu podjąć natychmiastową decyzję o powrocie do kraju w lutym 1948 roku. Wkrótce po powrocie i zamieszkaniu w Bartoszycach zaczęły się dokuczliwe szykany ze strony SB, a mianowicie: całonocne przesłuchania, trudności ze znalezieniem pracy, wyrzucenie rodziny Gawliczów z mieszkania w środku zimy do jakiejś prowizorycznej kwatery, co małe dzieci musiały odchorować, degradacja ze stopnia oficerskiego podporucznika do stopnia kaprała etc., co trwało do odwilży w 1956 roku. Wtedy to Piotr mógł wrócić do pracy w swoim zawodzie nauczycielskim, pełniąc następnie funkcję dyrektora szkoły wieczorowej a w końcu inspektora szkolnego w powiecie bartoszyckim, gdzie m.in. zbudował 13 szkół wiejskich, chętnie angażując do pomocy przy w-w budowach żołnierzy – alumnów, którzy w tamtych latach (1959 – 1980) pełnili dwuletnią służbę wojskową w specjalnej jednostce kleryckiej w Bartoszycach i którzy dzisiaj – jako moi współbracia w kapłaństwie i koledzy - wdzięcznie wspominają postać Piotra Gawlicza, mojego śp. wujka.

W mroźny dzień 17.02.1977 r. w wypełnionym po brzegi wiernymi kościele parafialnym w Bartoszycach, odprawiłem waz z miejscowym ks. Proboszczem i w otoczeniu licznej rodziny, przyjaciół i znajomych - Mszę św. pogrzebową za śp. Piotra Gawlicza, którego ciało złożyliśmy pobożnie do grobu na tamtejszym cmentarzu, gdzie oczekuje na zmartwychwstanie... R.I.P.

Wrocław, dnia 29.04.2020 A.D.

W/w Biogram opracował ks. dr Bolesław Lasocki - ppor. Rezerwy WP, sędzia Trybunału Metropolitarnego we Wrocławiu i siostrzeniec ppor. Piotra Gawlicza - na podstawie rękopisu jego wspomnień pod tytułem „PIOTR”, oraz relacji ustnej Karoliny Lasockiej z d. Gawlicz, Mamy ks. B. Lasockiego i siostry Piotra, a także jego żony Zofii Gawlicz z d. Danilewicz.

OAMDG

*Jest to wierny tekst rękopisu wspomnień ppor. Piotra Gawlicza (1911 – 1976), przepisany przez ks. Bolesława Lasockiego na podstawie), który został zachowany i przekazany dnia 11 lipca 2002 r. na ręce ks. dra Bolesława Lasockiego, siostrzeńca Piotra G., sędziego Trybunału Metropolitalnego we Wrocławiu, przez **Zofię Gawlicz**, żonę autora tekstu, żołnierza AK, łączniczki i kolporterki prasy podziemnej, instruktorki służby sanitarnej w Obwodzie Lwowskim i najmłodszej siostry ppłk. Tadeusza Danilewicza – legionisty, Komendanta Głównego Narodowego Związku Wojskowego NOW).*

„ P I O T R „



Piotr Gawlicz, fotografia do paszportu, Irak 11.07.1943 r.

Po trzytygodniowej podróży transsyberyjską koleją wyładowano nas we Władywostoku. Następnym etapem była Nachodka – obóz dla więźniów skazańców. Ja miałem wyrok 10 lat katorgi. W tym przejściowym obozie pracowałem jako stolarz. Pobyt mój tutaj był krótki. Przewieziono nas statkami przez morze Ochockie do Magadanu. Na statku załadowano nas piętami. Było nas tak dużo, że nie było mowy o żadnym poruszaniu się. Każdy załatwiał swoje sprawy fizjologiczne tam, gdzie stał. Ekskrementy spływały w dół. Ja byłem na drugim piętrze. Nie wytrzymałem tego piekła – płakałem i prosiłem Boga o śmierć. Podróż była koszmarem nie do opisania. Po wyładowaniu nas ruszyliśmy w kierunku północnym do obozu na Kołymie, gdzie mieliśmy odbyć karę za niedopełnione winy. Szliśmy po bezdrożach, od etapu do etapu, aby na odpoczynku w drewnianych barakach otrzymać zupę i kawałek chleba. Rano następny etap i tak szliśmy 20 – 30 km. dziennie. Dróg nie było żadnych. Są tam tylko szlaki utarte przez zwierzęta lub pojazdy na gąsienicach. Gdy spada śnieg szlak jest zakryty. Zostaje tylko bezkresna biel, pusta i martwa cisza. Ani śladu człowieka. Byliśmy całkowicie odcięci od świata, wszelkich kontaktów i informacji. Szliśmy w kolumnie ze wszystkich stron otoczeni uzbrojonymi strażnikami, popędzani kolbami karabinów i szarpani przez psy. Byliśmy okryci łachmanami i przemarznięci do kości. Byliśmy głodni i chorzy. Traciliśmy resztki nadziei. Tylko instynkt samozachowawczy nakazywał trwać i trzymać się kurczowo życia. Wiara i modlitwa dawały nam siły...

*

Był to pochód niesamowity. Makabra, pochód ludzkich szkieletów idących na śmierć. Wyglądaliśmy tylko końca tej piekielnej podróży. Racje żywnościowe były nędzne i ograniczały się do chleba, suszonej ryby i gorącej wodnistej, burakowej lub kapuścianej zupy. Nalewano ją do czegoś, co mogło zastąpić naczynie. Menażka czy miska to był skarb bezcenny. Bez niej było się głodnym. Przy nalewaniu wszyscy pilnowali, aby podział był sprawiedliwy – by ktoś nie dostał więcej lub gęściejszej... W końcu dotarliśmy do ziemi

zapomnianej przez Boga i ludzi – Kołomy. Pamiętali o niej tylko szatani z Kremla. Ziemia ta przeklęta, przesiąknięta łzami, krwią i potem tysięcy skazańców, teren powolnej śmierci niewinnych ludzi – usłany kośćmi polskich patriotów. Zagubieni w śniegach znaleźliśmy się o w obozie. Były to drewniane, mieszkalne baraki, otoczone słupami i kolczastymi drutami. Przy bramie wartownia, na środku plac apelowy. W takich samych barakach była siedziba naczelnika i różnych służb. Całą obsługę obozu tworzyli też skazańcy. Nie było w obozie wolnego człowieka... Ze zmęczenia padaliśmy z nóg i zasypiali na stojąco. Każdy otulał się w swoje łachmany. Wszyscy mieli za sobą więzienia, ciężkie śledztwa i nocne przesłuchania. Ja miałem rok więzienia w Tarnopolu, gdzie trzy razy kazano mi rozbierać się i stawać pod ścianą do egzekucji. Kazano mi przyznać się do posiadania broni, należenia do podziemnej organizacji i wskazania nazwisk członków organizacji. Na wszystkie pytania odpowiedziałem przecząco. *(wg ustnej relacji Karoliny Lasockiej, siostry Piotra Gawlicza, i jego żony Zofii Gawlicz – zimą 1940 r. zamarzył na drodze łącznik wojskowej formacji podziemnej, przy którym okupacyjne władze sowieckie znalazły dokument m.in. z nazwiskiem Piotra Gawlicza, jako żołnierza podziemia. Aresztowanie nastąpiło 4 maja 1940 r. we wsi Nesterówka, woj. Tarnopolskie, gdzie Piotr i Zofia byli nauczycielkami. Osadzono Piotra we więzieniu w Zborowie, a sądzono w Tarnopolu. Po zakończonym procesie wyprowadzono Piotra skutego pod lufami karabinów na korytarz gmachu sądu, gdzie oczekiwała jego rodzina, ale nie pozwolono mu pożegnać się z najbliższymi. Wtedy po raz ostatni widział swoich rodziców Annę i Stanisława, który w latach I wojny światowej odbył karę zesłania na Sybir w okolicach Irkucka i odtąd często ze łzami w oczach stawał oparty o parkan, patrząc na Wschód, gdzie teraz wywieziono jego syna...)*

Pisałem wiele razy swój życiorys. Znęcano się nade mną... Warunki były nieludzkie. Spaliśmy na podłodze i gdy ktoś z nas chciał się odwrócić – musieli wszyscy odwracać się. Tak było ciasno. Zachowałem jednak swoje futro, które przyczyniało mi wiele cierpień. Wytykano mię palcami, pluto i szydzono z polskiego pana. Musiałem go pilnować, dawało mi ciepło. Szybko na Kołymie pozbyłem się go. Zamieniłem za dwa bochenki chleba. Ważniejszy był chleb, marzyłem o nim i wszędzie go widziałem. Po wyzbyciu się tej resztki już niczym nie różniłem się od innych nędzarzy. Chodziłem w starej, połataniej fufajce. Byłem trochę inny – zawsze milczałem. Gdy inni opowiadali o swoich rodzinach, przeżyciach i marzeniach, ja słuchałem i milczałem. Stale byłem myślami przy swoich najbliższych. Troska o nich dobijała mnie. Czy są już na Sybirze i gdzie? Czy wytrwam? Modliłem się do Boga i prosiłem o łaski dla rodziny i o siły dla mnie. Wierzyłem święcie, że dożyję i wrócę do swoich i do Ojczyzny.

Po przejściu badań lekarskich podzielono nas na kategorie i rozdzielono do pracy. Badanie polegało na zobaczeniu pośladek. Jeżeli były umięśnione – więzień był zdolny do każdej pracy poza obozem. Jeżeli na pośladekach były tylko kości i skóra – więźnia kierowano do prac na terenie obozu. Ja należałem do grupy pierwszej. Codziennie o świcie wychodziliśmy do pracy w lesie. Każdy miał wyznaczoną normę dzienną. Jeżeli jej nie wykonał, miał tak zwany „sztrafny kocioł”, tzn. zmniejszona rację zupy i chleba, które w normalnym wymiarze były i tak głodowe. Wnętrza baraków wypełnione były trzema piętrami prycz i paleniskiem. Piec to tyła ogromna metalowa beczka z rusztem i kamieniem, w której palono bez przerwy. Gdy ogień przygasał wewnątrz baraku gwałtownie spadała temperatura. Obok pieca stała ława, na której stały cebra z wodą, wiadra do noszenia wody i kotły na zupę, czy kawę. Ciepła w baraku chroniliśmy, bo wracając z pracy mogliśmy się ogrzać, pozbyć tego dygotania ciała i usunąć przenikliwy ból w piersiach. Spaliśmy bezpośrednio na deskach, przykryci tym, co kto miał. Nie rozbieraliśmy się, bo hieny ludzkie kradły i ten dobytek. Zaczęły gnębić nas choroby, wszawica i pluskwy, które stały się przekleństwem. W dzień nie było ich widać, natomiast w nocy były wszędzie i nie dawały spać. Z insektami walczyliśmy

przy pomocy „odwszalni”. Było to poddawanie odzieży dezynfekcji w parze i wysokiej temperaturze.

*

Byłem stale głodny, marzyłem o tym, aby doczekać takiej chwili, że zjem do syta chleba i na stole zostanie troszkę. Niektórzy więźniowie uciekali, ale szybko wychwytywano ich, lub błądzili w śniegach i zamarziali. Praca w tych warunkach była nie do wykonania. Najpierw traciliśmy siły, później zdrowie i na koniec wielu umierało. Ci, którzy byli słabi psychicznie, załamywali się i ginęli pierwsi. Ci, którzy mieli wiarę i byli bardziej odporni – przeżyli. Do baraku szumnie zwanego szpitalem dostawał się tylko ten, kto miał gorączkę. Inni byli zdrowi i musieli iść do pracy. Zmarłych wywożono lub wynoszono poza obóz, gdzie specjalnie wyznaczeni grabarze wykuwali w zmarzlinie dołki, wkładali zwłoki i zasypywali kawałkami lodu i kamieni; i tak śnieg szybko wszystko zasypywał.

Wielogodzinna praca w strasznych mrozach była nieludzka katorgą. Na własne oczy widziałem 56,8 st. mrozu. Wielu odmrażało sobie twarze, nosy, uszy, ręce i nogi. Cierpień naszych żadne słowa nie opiszą.

*

Byłem świadkiem cudownego zjawiska. Widziałem zorzę polarną. Na czarnym niebie zjawily się błyski w różnych kolorach tęczy. Wszystko płonęło jaskrawym złotem, zmieniało się bez przerwy: intensywność światła, kształt. Było to coś wspaniałego. Stałem jak zaczarowany.

Byłem u kresu sił. Spuchnięty z głodu. Nogi moje były jak czarne kłody. Nie miałem gorączki, więc musiałem iść do pracy. Koledzy ciągnęli mnie między sobą i ukrywali. Pracowali za mnie. Wlokłem się wśród nich, chwilami bez kontaktu ze światem. Podczas któregoś marszu upadłem, aby się nie podnieść. Koledzy odciągnęli mnie na pobocze i tam pozostawili. Kolumna musiała iść dalej. Wyjście z szeregu było karane śmiercią. Czekałem, kiedy dojdzie do mnie strażnik, który mnie dobije. Nad sobą widziałem oczy psa i jego straszne kły. Żegnałem świat i moich najdroższych dalekich. Byłem z nimi...

*

I tu zdarzył się cud. Modlitwy i błagania Boga moje i mojej rodziny zostały wysłuchane. Zamiast czasku kuli usłyszałem : „Szczo, ty bolnoj” (*czy ty chory*) ?. Nie mogłem odpowiedzieć. Nędza moja osiągnęła dna. Okazało się, że to był lekarz, który od czasu do czasu zjawiał się w obozie. Zabrał mnie do szpitala. Uratował mi życie. Leczenie w szpitalu było zawsze krótkie. Zostałem tam dłużej. Byłem tam sprzątaczem, palaczem, noszowym i spełniałem wszelkie zlecenia. W tym szpitalu piłem najcudowniejszy w świecie napój. Był to tran. Dostałem go ok. pół szklanki. Widocznie mój organizm był zupełnie wyczerpany. Tran wydal mi się ambrozją bogów. Żaden najlepszy koniak nie smakował mi bardziej w całym moim życiu. W chwilach wolnych kleiłem zeszycki. Jeden z nich pozostał mi do dziś. Jest to albumik ze zdjęciami i autografami moich współtowarzyszy niedoli. Są w nim: F. Halach z Borysławia, S. Onichowski z Mińska, M. Zieliński z Horodenki, W. Nejfeld z Białegostoku, B. Niederhoffer ze Lwowa, J. Kohout ze Spały, J. Stachowski z Proszowic, A. Krakowiecki z Krakowa (*dziennikarz i poeta; napisał wiersz, w którym nazywa Piotra „Świątym” – mówi Zofia Gawlicz.*), J. Plebanek z Włoszczowej, F. Kolasa ze Lwowa, S. Gutowski z Tarnopola, K. Popiel z Delejowa pow. Stanisławów, W. Ruszkowski z Warszawy, Z. Kozłowski z Tuchaczewa i wspólne zdjęcie zrobione w Iranie...

*

Pewnego dnia z sieci głośników usłyszałem zdanie, które odmieniło mój los. Trudno było w to uwierzyć: "Żołnierze!, Polacy! Jesteście wolni, nadszedł czas, aby ruszyć na wroga i wyrzucić go z Polski..." (jak wiadomo na mocy układu polsko-sowieckiego Sikorski – Majski, podpisanego w Londynie dnia 30 lipca 1941 r.; art. 4 stanowił o możliwości tworzenia na terytorium ZSRR Armii Polskiej).

Dostaliśmy zaświadczenia i wyruszyliśmy na południe. Szedłem piechotą, jechałem różnymi środkami lokomocji, aby tylko dotrzeć na punkt zborny. Jakim cudem pokonałem tę odległość o własnych siłach – nie wiem?. Na początku często padałem, ale im dalej na południe, czułem się silniejszy. Jadłem zieleninę i dobrzy ludzie pomagali mi.

W Krasnowodzku zakończyłem swój pobyt w Z.S.R.R. 6 lipca 1942 r. zostałem wcielony do VI Dywizji Piechoty. Odpłynąłem ostatnim statkiem, jako szeregowy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Popłynęliśmy do Persji, aby najkrótszą drogą dojść do ukochanej Ojczyzny i swoich rodzin. Ale szlak ten okazał się daleki i długi...

*

Po opuszczeniu statku zobaczyliśmy, że można swobodnie kupić chleb, jaja, czekoladkę itp. Uprzedzono nas, aby nic nie spożywać dodatkowo, bo lekarze czuwają nad naszą dietą. Byliśmy takimi wygłodzonymi nędzarzami. Niestety, wielu nie posłuchało. Rzucili się na żywność, jak zgłodniałe zwierzęta i ginęli. Nam wydzielono małe porcje – 20 dkg chleba na cały dzień. Byliśmy przerażeni, że tu też będziemy głodować. Po pewnym czasie okazało się, że racje chleba były za duże. Nikt ich nie zjadał. Mieliliśmy luksusowe wyżywienie. Nie brakowało nam niczego. Przez dłuższy czas nic nie robiliśmy. Dochodziliśmy do „człowieczeństwa”. Po jakimś czasie przewieziono nas w inne miejsce i tam rozpoczęliśmy szkolenie.



Obóz na Bliskim Wschodzie (Piotr po lewej stronie z kolegą; Msza św. połowa przy kaplicy w C.W.A.)

Dnia 10.II.1943 r. skierowano mnie do Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty. 20.III.1944 r. ukończyłem ją w stopniu starszego strzelca i przydzielono do 5 Dywizji Piechoty 18 pp. Organizacją życia wojska i aprowizacją zajmowali się Anglicy. Zdali egzamin na medal. Dostaliśmy piękne mundury i broń. Urządzaliśmy różne imprezy i wycieczki. Odwiedzali nas znajomi i różni artyści. Organizowaliśmy szkoły i świetlice. Był u

nas naczelnym wódz Polskich Sił zbrojnych gen. Wł. Sikorski. Życie byłoby znośne, gdyby nie ta straszna tęsknota do rodziny i kraju. Na pustyni nauczyłem się palić papierosy. Nigdy nie paliłem, a miałem już 32 lata. Był dzień, że nie mogłem poradzić sobie z sobą. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Błąkałem się wśród namiotów, chcąc zabić w sobie jakąś straszliwą rozpacz. Nie miałem od chwili aresztowania, tj. od 4 lat żadnej wieści od żony. Trawił mnie niepokój o ich los. Wiedziałem o tym, że rodziny więźniowi były deportowane w głąb Rosji. Szukałem ich wszędzie. Ani ich, ani żadnego znaku nie dostałem. Koledzy, aby mnie uspokoić, dali mi papierosa. Był to mój pierwszy w życiu papieros. Uspokoilem się i od tego czasu już stale paliłem.

*

Przyszedł rozkaz wymarszu do Italii... Przetransportowano nas statkiem przez morze Śródziemne. Zaczął się mój szlak bojowy. Wszyscy marzyliśmy o tej chwili, aby walczyć ze zniechęconym wrogiem... Wyznaczono nam zdobycie wzgórza Monte Cassino. Klasztor OO Benedyktynów był już zburzony przez Anglików we wtorek 15 lutego 1944 r. W gruzach klasztoru i w skałach umacniali się Niemcy. Teren zaminowali, zbudowali kilometrowe betonowe korytarze, w skałach wykuli bunkry, w pieczarach umocnili karabiny maszynowe i całe hektary pokryli spiralami drutu kolczastego. Niemcy otrzymali rozkaz od Hitlera: „Utrzymać się za wszelką cenę”. Zdawało się, że twierdza jest nie do zdobycia. Walczyli tam już Anglicy, Amerykanie, Francuzi, Nowozelandczycy, Kanadyjczycy, Hindusi, Algierczycy, Tunezyjczycy i żołnierze Maroka, Senegal i Cypru. Ich ataki nie odniosły skutku. Na koniec przyszli Polacy pod dowództwem gen. Wł. Andersa. Niemcy o tym nie wiedzieli, że teraz do walki stanął największy ich wróg – Polacy. Odpłacą za swoją niedolę. Hitler był pewny zwycięstwa. Wysłał I Dywizję Wojsk Spadochronowych – żołnierzy nieustraszonych, specjalnie szkolonych, fanatycznych faszystów. Żaden nie przekroczył 25 lat. Byli ochotnikami. Przezywano ich „zielonymi diabłami”. Z nimi stoczyliśmy największe boje. W ostatnich dniach kwietnia 1944 r. zajęliśmy stanowiska w górach. 11 maja zaczął się bój. O godz. 23,00 zapaliła się ziemia i niebo. Na sygnał z Londynu zagrzmiało 1800 dział, z tego 1100 na Monte Cassino i dolinę rzeki Liri. Zdobycie Monte Cassino otwierało drogę do Rzymu i zwycięstwa.

*

III. Dywizja Strzelców Podkarpackich miała zdobyć klasztor i wzgórze oznaczone nr 593, a V. Kresowa, w której ja byłem, Widmo i wzgórze 575 i stanąć na Santa Angela. O świcie byliśmy na Widmie. Tu zasypała nas lawina pocisków wroga. Wyszły nasze wozy pancerne, ale zabrakło im amunicji i musieli się wycofać. Dowóz amunicji był bardzo trudny, gdyż wszędzie były miny, a drogi wśród skał i w ciemnościach nie ułatwiały dotarcia do celu. Często żołnierze na plecach przenosili skrzynki z amunicją.

Muszę zaznaczyć, że Niemcy chwytały się różnych sposobów, aby obniżyć morale żołnierzy. Zaczęła intensywnie pracować radiostacja „Wanda”, która stale nawoływała: „Polacy, rzućcie broń, zawieziemy was do kraju, gdzie czekają żony, matki dzieci i narzeczone...” Ale żołnierz polski pałał chęcią zemsty za swoją i swojej rodziny poniewierkę i nieszczęścia. Nikt nie wierzył w te brednie.

Następny atak był 16 maja 1944 r.. Był straszny. Polacy dokonywali cudów waleczności. Własnym ciałem, z okrzykiem „jeszcze Polska nie zginęła”, rzucali się na bunkry w skałach, aby stamtąd wyciągnąć wroga. Walczono nawet wręcz. Niemców chroniły skały.

Na wzgórzu 593 walczone o każdy metr góry. Tam najobficiej lała się polska krew...

18 maja 1944 r. byłem na Widmie i obsługiwałem karabin maszynowy. W tym dniu Ułani Podolscy ruszyli na wzgórze klasztorne i o godz. 10,20 na ruinach klasztoru załopotała biało – czerwona flaga. Za chwilę zawieszono tam flagę angielską. Plutonowy Emil Czech

odtrąbił hejnał krakowski, a amerykański myśliwiec zrzucił wiązaną róż. Droga do Rzymu została otwarta.

*

(w tym miejscu rękopisu brak kilku słów...) Sanitariusze znosili mnie na noszach z Widma. Zostałem ranny w nogę. Z radości uzyskanego zwycięstwa nie czułem bólu. Byłem cały zakrwawiony. Kolega mój został przy tym karabinie zabity i jego krew opryskała mnie. Przy ratowaniu mnie razem z opatunkami ściągnięto mi z palca obrączkę, która tak troskliwie przechowywałem.

Tu mój szlak bojowy został na długo przerwany. W szpitalu podziwiałem pracę służby zdrowia, a szczególnie chirurgów. Czasem gdy napływ rannych był duży – pracowali bez przerwy. Robili wszystko, aby żołnierzy ratować przed kalectwem i chronić ich życie i zdrowie. Jeden z chirurgów w czasie wykonywania operacji dostał wiadomość, że jego syn jedyny został zabity. Spokojnie skończył zabieg...

Za walki we Włoszech zostałem awansowany do stopnia podporucznika i odznaczony Krzyżem walecznych i Gwiazdą Italii.



Rzym, 1945 r. plac św. Piotra – grupa polskich żołnierzy II Korpusu już po bitwie pod Monte Cassino i po audiencji u Ojca św. Piusa XI (u góry trzeci od prawej ppor. Piotr Gawlicz)

*

Po zakończeniu działań wojennych we Włoszech dnia 6 lipca 1946 r. przewieziono nas statkiem do Anglii i umieszczono w wojskowych barakach.

20 lutego 1948 r. zostałem zdemobilizowany. Zachęcano nas do powrotu do kraju. Anglicy nie znali życia pod opieką ZSRR i w ich ustroju. Mnie zaproponowano wstąpienie do

wojska angielskiego. Nie chciałem. Każdy z nas przeżywał ogromną rozterkę: pozostać, czy wracać do kraju...

W roku 1946 dostałem pierwszą wieść o żonie. Przeżyła wojnę i wraz z dzieckiem była na Mazurach. Rozpoczęła się nasza korespondencja. Postanowiłem pozostać w Anglii i rodzinę sprowadzić. Wysłałem pieniądze i wiadomość, aby była gotowa do podróży. Wszystko było ustalone. Wtedy zachorowało dziecko i żona wyjechała do Warszawy, aby u profesora przeprowadzić gruntowne badania. Dostałem od niej smutny list i do tego opis Warszawy, która wtedy leżała w gruzach. Postanowiłem wrócić do rodziny. Ciężka to była decyzja, gdyż znałem dobrze komunistyczne piekło, a przeżycia z Syberii chodziły za mną jak cień...

*

Wróciłem po 8 latach do Polski (*do Bartoszyca na Warmii- xBL*) w dniu 23.II.1948 r. Nie będę opisywać radości powitania. Córeczkę (Basię) zostawiłem 4. miesięczną, a teraz była w II klasie. Ojca wcale nie знаła. Boczyła się na mnie. Bo jak to może być? Mama zawsze była z nią, a teraz przyjechał jakiś żołnierz i mama poświęca mu tyle czasu?

Przez parę miesięcy miałem spokój, z tym, że nie mogłem otrzymać pracy. O zawodzie nauczyciela nie było mowy. W biurach witano mnie bardzo serdecznie, ściskano ręce i z zażenowaniem oznajmiano o braku etatu.

17.VIII.1949 r. zdegradowano mnie do stopnia kaprała. Oficer w Kom. Rej. Nr 2 w Lidzbarku Warmińskim PKU potraktował mnie jak wroga. W końcu... (*tutaj brakuje kilku słów tekstu*) ...w pow. Związku Gminnych Spółdzielni. Po kilku miesiącach aresztowano prezesa, który należał do PSL, a następnie głównego księgowego, któremu zarzucano współpracę z Niemcami. Przyjaźniłem się z nim. Był przed wojną sędzią. Po rocznym trzymaniu go w więzieniu i szczególnym znęcaniu się, zwolniono go.

U mnie też zaczęło się piekło, które trwało do 1956 r. Każdego wieczora zabierano mnie z domu na UB na przesłuchanie. Te nocne pobyty trwały czasem do świtu. Wracałem sponiewierany. Chciano zrobić ze mnie szmatę... Był taki ranek, kiedy zwolniono mnie i wracałem do domu; byłem tak załamany, że gdybym miał pistolet popełniłbym samobójstwo. Znosiłem te wszystkie wyzwiska od zdrajców, szpiegów angielskich i innych epitetów. Były takie chwile, że żałowałem swego powrotu do Polski. Trzeba było zostać na obczyźnie i spokojnie żyć. Nadal bardzo sumiennie pracowałem w PZGS-ie. Zerwałem wszelkie kontakty z kolegami, nigdzie nie wyjeżdżałem, nikogo nie odwiedzałem, z nikim nie korespondowałem. Nawet ks. Proboszcz, który czasem wieczorem przychodził do mnie na szachy, nie chcąc mnie jeszcze bardziej narażać na szykany, przestał odwiedzać mój dom. Z mieszkania mego usunięto nas aż na peryferie miasta. Moje mieszkanie piękne oddano pracownikom UB. Nowe mieszkanie remontowano dla nas ze strychu w czasie zimy. Ponieważ piece były budowane w czasie mrozów, po rozpaleniu w nich „usiadły”. Na ścianach iskrzył się śnieg. Przeprowadzka nastąpiła bez uprzedzenia. Przysłano grupę żołnierzy, którzy bardzo szybko przenieśli nasz skromny dobytek. Był to dzień 2 lutego 1952 r. Dzieci były małe. Jedno miało 2 lata, a drugie pół roku. Od razu zaczęły chorować. Lekarz, który przyszedł do dzieci stwierdził, że lepiej postawić namiot i tam zamieszkać, niż w takim mieszkaniu. Nie miałem łazienki, a ubikacja była wspólna na klatce schodowej.

Na domiar wszystkiego żona moja po powrocie z urlopu macierzyńskiego zastała swój etat w szkole zajęty. Kazano jej iść do innej szkoły na drugim końcu miasta. Był tam zorganizowany Centralny Ośrodek Wychowawczy – Szkoleniowy RTPD. Była to „kuźnia” młodych komunistów. Nie mam słów na opisanie naszych przeżyć. Czuliśmy się zaszczuceni, sponiewierani i w ogóle ludźmi gorszego gatunku. Było nam bardzo ciężko...

W pracy w PZGS czułem się dobrze. Robiłem, co do mnie należało i milczałem. W krótkim czasie oceniono moją pracę wysoko. Na walnym zebraniu wybrano mnie na v-ce prezesa. Cieszyłem się wielkim uznaniem i poważaniem. Byłem autorytetem nie tylko w

biurze, ale i w środowisku. Po roku 1956 przestano mnie dręczyć. Zaproponowano mi kierownictwo szkoły dla dorosłych, a po roku stanowisko podinspektora, a następnie inspektora szkolnego. Wszystko to zawdzięczałem nowemu pierwszemu sekretarzowi Komitetu pow. PZPR, który darzył mnie wielkim uznaniem i poważaniem. Na konferencjach sierpniowych, na których byli zebrani wszyscy nauczyciele z całego powiatu, były paradoksalne sytuacje: Gdy I sekr. partii PZPR wzywał wszystkich nauczycieli partyjnych do oddzielnej sali na naradę, ja jako bezpartyjny pozostawałem z resztą. Widocznie w Kuratorium Oświaty i Wychowania też oceniali moją pracę, bo przysyłali mi dziennikarzy z radia i telewizji na wywiady. Kiedyś redaktor z Warszawy zapytał mnie, czy jestem partyjny?. „Nie” – odpowiedziałem. Dziennikarz ze śmiechem powiedział: ”widocznie trzymają pana na tym stanowisku, aby pokazać zagranicy, że w Polsce Ludowej są bezpartyjni inspektorzy.”

Na tym stanowisku pracowałem aż do przejścia na emeryturę w 1972 r. Pracowałem bardzo uczciwie, a głównie koncentrowałem swój wysiłek na budowie szkół. Zbudowałem 13 obiektów szkolnych, 1 internat i 4 mieszkania dwurodzinne dla nauczycieli na wsi.

Nigdy nie cieszyłem się pełnym zaufaniem moich władz, chociaż szanowali mnie i liczyli się z moim zdaniem. Gdy wywierano nacisk na zwolnienie mnie z tego stanowiska, sekretarz PZPR odpowiadał: ”dajcie mi lepszego”. Widocznie nie znaleźli, a nawet odznaczono mnie Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, zasługi dla Warmii i Mazur oraz tytułem Zasłużonego Nauczyciela.

(z rękopisu autora Piotra Gawlicza przepisał ks. Bolesław Lasocki; Wrocław, 3 Maja AD 2020)

.....

/część II/

+
JMJ

*Autorką zamieszczonego poniżej tekstu swych osobistych wspomnień z lat II wojny światowej pod okupacją sowiecką i niemiecką jest **Zofia Gawlicz z d. Danilewicz (1915 - 2008)**, żołnierz AK, łączniczka i kolporterka prasy podziemnej, instruktorka służby sanitarnej w Obwodzie Lwowskim i najmłodsza siostra pplk. Tadeusza Danilewicza – legionisty, Komendanta Głównego Narodowego Związku Wojskowego NOW oraz żona **ppor. Piotra Gawlicza (1911 – 1976)**, zesłańca syberyjskiego, a następnie żołnierza II Korpusu WP.*

Dnia 11 lipca 2002 r., moja Ciocia Zosia, autorka rękopisu, przekazując (na ok. 6 lat przed swoją śmiercią, tj. 30.11.2008 r.), tenże tak bardzo cenny tekst na moje ręce, (jako siostrzeńca jej męża Piotra), napisała m.in.: „... Był czas, że chciałam napisać książkę o życiu na Kresach podczas okupacji. Na rynku jest tak wiele pięknej literatury na ten temat, że uważam, iż nie dorosłam do tych wyżyn. Wysyłam Ci cześć tej książki, pisanej dawno i mało czytelnej. W wolnej chwili przeczytaj i to, co Ci potrzebne, wybierz i wykorzystaj. Teraz już jestem słaba pod każdym względem. Różaniec twój jest cudowny – codziennie odmawiam. Dziękuję za wizytę. Może Dobry Bóg pozwoli mi jeszcze zobaczyć się z Tobą... Najcudowniejszym darem od Boga był mój mąż. Był wspaniałym człowiekiem i mógłby być wzorem dla każdego. Tak strasznie dużo wycierpiał, a nigdy nie skarżył się. Wszystkim wybaczył. Takich ludzi jest mało. Niech spoczywa w pokoju u Pana”. Ciocia Zofia. Sopot, 11.07.2002 r.

Spełniając wolę kochanej Cioci i bardzo dostojnej, pobożnej i wiarygodnej Autorki, niniejszym udostępniam go jej bliskim Krewnym oraz zainteresowanym czytelnikom i placówkom historycznym opisane w tych wspomnieniach fakty historyczne oraz tak bardzo budujące postawy moralne i patriotyczne przywołanych w tam bliskich mnie także osób, „ad perpetuum rei memoriam...”, zachowując kolejność chronologiczną poszczególnych części wspomnień: „Mój dom rodzinny”; „Pierwszy transport”; „Jak uniknęłam Sybiru”; „Wybuch wojny niemiecko – radzieckiej”; „Cuda na drodze”

Wrocław 3 Maja AD 2020

Ks. Bolesław Lasocki

*

Mój rodzinny dom

Mój rodzinny dom, to piękny dworek szlachecki we wsi Przemiwarki, pow. Żółkiew, 20 km. od Lwowa. Budynek był ogromny – długi na 28 m. i szeroki na 16 m., z pięknymi filarami, kamiennym tarasem i kamiennymi schodami. Miał osiem dużych pokoi. Wśród postumentów był granitowy stół, na którym według miejscowej legendy król Jan III Sobieski spożywał posiłek. Mój ojciec kupił to całe centrum z resztką pól i łąk przy parcelacji gruntów w roku 1922. Miałam wtedy siedem lat. Doskonale pamiętam, że na początku bałam się i gubiłam wśród tych ogromnych sal i zdawało mi się, że jestem w kościele, gdzie są przepiękne okna o półkolistych szczytach. Mury domu były b. grube. Dom był biały, a dach pokryty blachą. Podwórze zajmowało 2 ha. powierzchni, a na nim stały: obora, stajnia, tuczarnia, kurniki, dwie duże stodoły, spichlerz i wozownia. Z boku podwórza była studnia, gdzie pojono bydle i konie. Dworek stał na uboczu wsi, odgradzony od niej pasem drzew owocowych i akacjowych. Wjazd był od strony wsi przez dużą bramę. Z boku tych drzew była nasza prywatna droga, która łączyła nas z szosą: Lwów – Żółkiew. Na niej był drewniany mostek, gdzie często podglądałam, życie ryb w głębokim rowie. Z prawej strony tej drogi był grób niemieckiego żołnierza z czasu I wojny światowej. Prochy tego żołnierza zabrano w czasie II wojny do Niemiec. Od strony północnej rozciągały się ogrody warzywne, dalej pola. Podobnie od strony wschodniej, a od strony południowej był przepiękny park i 18 ha sadu. W sadzie była sadzawka, nad którą spędzałam wiele czasu kąpiąc się i opalając.

Jeden z poprzednich właścicieli tego majątku wydzielił na granicy wschodniej kawał pola i tam był cmentarz. Droga na cmentarz prowadziła przez nasze pola. Służyła tylko do odprowadzania zmarłych na wieczny spoczynek. Mało tam było grobów, ale była śliczna mała kaplica. Była ona grobowcem rodziny Bogdanowiczów i Hemplów. W podziemiach spoczywały ich prochy. W kaplicy tej w miesiącu maju dziewczęta i chłopcy odprawiali wieczorne majowe nabożeństwa, tzw. majówki. Było to coś wspaniałego. Ołtarz w kaplicy był zawsze pięknie przystrojony w kwiaty i zioła. O zmierzchu zbiegała się do tej kaplicy młodzież i trochę starszych, aby odśpiewać Litanię do Matki Bożej Loretańskiej i pieśni maryjne. Na ołtarzu paliły się świece i unosił się silny zapach kwiatów. Często pomagałam przystrajać ołtarz, gdyż w naszym parku było wiele kwitnących, pachnących i ozdobnych krzewów. Po nabożeństwie majowym wszyscy wracali dróżką wśród pól i śpiewali nabożne pieśni. Był już wieczór – echo niesło daleko nasze glosy, a słowa: „Ave, ave Maryja...”- słyszę do dzisiaj. Kaplica była kiedyś świadkiem wielkiego wydarzenia. Odwiedził ją arcybiskup lwowski (św. Józef Bilczewski – x BL) i w niej odprawił nabożeństwo. Byłam wtedy jeszcze małą dziewczynką, ale w szkole wybrano mnie, abym go powitała. Pamiętam do dziś, że byłam ubrana na biało i moje białe pantofelki były nowe i bardzo ciasne. Wiersz powiedziałam bez pomyłki i ks. Arcybiskup ucałował mnie, a później moja nauczycielka p. Hermina Siwak. Do dzisiaj pamiętam urywek:

„... I cóż Ci za to damy?

oto pęk kwiatów z naszej polskiej ziemi,
wdzięczność dozgonną,
miłość niekłamana,
ale Pan Niebios wynagrodzi Ci sowicie...”

Rodzina nasza była bardzo liczna. Było nas dziesięcioro dzieci. Najstarszy z braci to Tadeusz, a najmłodszą z rodzeństwa byłam ja – (Zofia, ur. 28.09.1915 r.). Gdy się urodziłam mój brat Tadeusz był już oficerem. Pamiętam gdy w walkach o Lwów został bardzo ciężko ranny. Miał przestrzelona miednicę. Na rekonwalescencję przyjechał do rodziców. Do domu przyjeżdżał mało. Był już usamodzielniony. W Żółkwi zdał maturę, a we Lwowie ukończył Akademię Handlową. Był oczkiem w głowie mojej mamy. W rodzinie był wielkim autorytetem. Zawsze był b. poważny i wywierał ogromny wpływ na sprawy rodzinne i nasze wychowanie oraz kształcenie. Małżeństwo jego nie było udane. Ożenił się z dziewczyną chorą, która prawie całe swoje życie spędzała w Zakopanem na leczeniu. Zmarła młodo. Ja wspominam brata Tadeusza bardzo czule. Był dla mnie najlepszym opiekunem. Jako młody oficer zabierał mnie do siebie, pomimo że był wtedy jeszcze kawalerem. Z nim chodziłam do kina, na zawody hippiczne i różne imprezy wojskowe. Gdy dorosłam wiele czasu spędzałam w jego domu. Z nim byłam na balach oficerskich i różnych spotkaniach.

W czasie II wojny światowej nasz majątek został skonfiskowany i na jego terenie pobudowano 28 baraków na magazyny sztabu wojskowego armii czerwonej. Gdy wkroczyli tutaj w 1941 r. Niemcy, zwrócili mojemu ojcu jego własność, ale wszystko było zrujnowane. Okoliczna ludność rabowała resztki magazynów, niszcząc wszystko wokoło. Zniknęła też kaplica i cmentarz. Szukano w grobach złota i tak zbezczeszczono dawno zmarłych „panów”. W czasie strasznych mordów ukraińskich dom nasz stał się fortecą. Wszystkie okna były okratowane stalową siatką. Wiele ludzi spało na strychu domu, mając przy sobie broń. Niestety, gdy wokół zabrakło Polaków, którzy opuszczali swoje domostwa i uciekali do Polski centralnej lub poginęli od siekier i obuchów ukraińskich, mój ojciec jako starzec postanowił opuścić swój majątek. Wyjechał w kwietniu 1944 r. i dotarł do Chałupek, woj. Rzeszów, gdzie po kilku dniach moja matka zmarła. Wojna w czasie tych strasznych lat rozproszyła całą naszą rodzinę. Nie ominęły nas więzienia i deportacje do ZSRR. Pamiętam Wigilię 1941 roku, gdy przy stole zasiadło 17 osób. Były to same młode kobiety z małymi dziećmi i jeden stary mój ojciec. Zamiast życzeń słychać było głośny szloch, a ojciec powtarzał tylko: „moje kochane dzieci”!- więcej mówić nie mógł. Z mojej najbliższej rodziny 27 osób znalazło się na Sybirze, 4 we więzieniach. Wszyscy włączyliśmy się w walkę o wolność Polski. Szczęście nam sprzyjało, gdyż tylko 4 osoby pozostały na zawsze na Sybirze, ale do kraju wielu nie wróciło. Wojna rozproszyła nas po całej kuli ziemskiej. Brat mój Tadeusz nie był na moim ślubie, który się odbył 8 lipca 1939 roku. , gdyż już był w ostrym pogotowiu wojennym. Przez cały okres wojny i okupacji nie spotkałam się z nim. Docierały tylko do nas wieści, że za wojnę 1939 r. został odznaczony krzyżem Virtuti Militari, że pracuje w podziemnej organizacji wojskowej, że jest w Łodzi albo Warszawie... Korespondencję z nim nawiązałam dopiero gdy był w Anglii. Mam jeszcze jego listy pisane przed samą śmiercią.

Po kilku dniach od wyjazdu moich rodziców z domu (w Przemiwarkach pod Lwowem), całe gospodarstwo, tj. dom, obory, stajnie, tuczarnie, kurniki i spichlerz – wszystko zostało podpalone i spłonęło. Byłam wtedy jeszcze w pobliżu. Byłam mocno zaangażowana w pracach AK i widziałam „śmierć” mojego rodzinnego domu. Był to straszny widok. Łuna pożaru rozciągała się na pół nieba. Stałam jak skamieniała na pobliskim wzgórzu wśród chłopców z partyzantki AK. Nikt z nas nic nie mówił. Dzisiaj nie ma ani śladu z tego pięknego gospodarstwa, gdyż nawet mury zostały rozebrane. Zniknął park i sad. Podobno okoliczna ludność wycinała drzewa na opał. Wśród tego pogromu zginęło stare drzewo, które

było otoczone szacunkiem przez ludność okolicy. Było to ogromne drzewo, które co roku na wiosnę wypuszczało na pniu ciernie. Później kolce te drętwiały i stawały się twarde. Była to „cierniowa korona”. I ta cierniowa korona pozostała u wszystkich, którzy wyfrunęli z tego gniazda...

*

Pierwszy transport

Był mroźny zimowy dzień – pamiętny dzień 10 lutego 1940 roku. Wszyscy nauczyciele z obwodu Jezierna, woj. Tarnopol, byli zebrani na konferencji w miejscowej szkole. Te konferencje i szkolenia były bardzo częste. Wypełnione były nauką marksizmu – leninizmu, uwiadomianiem o „pięknym” ustroju ZSRR. Obecność wszystkich była sprawdzana. W pewnym momencie spojrzałam przez okno. Zobaczyłam scenę niezwykłą. Dziwny szereg sań zaprzęzonych w konie. Na saniach kobiety i dzieci oraz kilka tobołków. Obok san szedł woźnica i chłop. Za saniami szedł uzbrojony żołnierz, jego karabin wymierzony był do strzału. Kobiety spłakane, mężczyźni ze schyłonymi głowami, zaciśniętymi ustami i kamiennymi twarzami. Straszna to była karawana.

Na naszej sali powiało grozą. Wieść szeptano: „na Sybir, na Sybir...” Zapadła głęboka cisza. Jakaś upiorna siła paraliżowała nas. Nikt nie słyszał słów prelegenta o „dobrym i wielkim Stalinie, ojcu i opiece...” Każdy schylał głowę, a nieludzki ból szarpał za serca. A za oknami sunęły sanie w kierunku stacji kolejowej. Wywożono mieszkańców z najbliższej wioski spod Jeziernej. Za co? Była to biedna wioska powstała na polach rozparcelowanego majątku ziemskiego. Każdy pochodził z tej okolicy i kupił kawał pola, sklecił chatę i ciężko pracował na utrzymanie rodziny. Uznano ich za kolonistów i dlatego wywieziono do krasnojarskiego kraju. Zrobiono tak na całym obszarze zajęтым przez ZSRR. Potworna krzywda. Do biedy, jaką cierpieli, sowieci dołożyli im jeszcze bezdomność, poniewierkę i niepewność dalszego losu.

Po skończonej prelekcji nie było dyskusji. Ból w nas był tak wielki, że nawet rozmowa była niemożliwa. Nie wiedziałam, że w tym samym dniu taki sam los spotkał moją siostrę i brata, gdyż brat był we więzieniu w Baranowiczach, a szwagier we Lwowie. Część z nich wrobiła z zesłania, a część spoczywa na zawsze w ziemi dalekiego kraju.

Od tego dnia panicznie bałam się Sybiru. Wychowano mnie w wielkim patriotyzmie, a los powstańców 1830 i 1863 roku był mi świetnie znany. Pierwszy wiersz jakiego nauczyła mnie moja mama, pamiętam do dziś. Zaczyna się od słów: „Car Mikołaj zwiedzał Wilno, Litwę i Koronę, bo niecnocie poznać pilno dzielnicę skradzioną...” Zawsze na nowo czytałam literaturę o tych straszliwych cierpieniach naszych rodaków. Wiersz Or – Ota pt. „List z Sybiru” był mi bardzo bliski. Obrazy Grottgera mogłam zawsze oglądać w muzeum we Lwowie. Nie przeczuwałam wtedy, że moi najbliżsi i kochani podzielą też ten los nieszczęśników.

Transporty szły na Wschód. Była zima ciężka i mroźna. Pociąg składał się z wagonów bydłowych, w nich pełno ludzi i ich tobołków. Żegnanie rodzin, kwilenie niemowląt i głośny pacz stwarzały makabryczną atmosferę. Przy każdym wagonie była warta z karabinem gotowym do strzału. Młodych mężczyzn było mało. Oni byli we więzieniach. W niedługim czasie los ten spotkał moją drugą siostrę z czwórką małych dzieci. Mąż jej był we więzieniu we Lwowie, a ją wieziono do Kazachstanu. Wywieziono ją drugim transportem. Podróż ich trwała długo. W wagonie bydłowym mieściło się kilka rodzin. Byli starcy, dzieci i chorzy. Toalety nie było, był tylko otwór w podłodze. Było to dla niektórych straszliwą męką, bo nie mogli swoich spraw fizjologicznych załatwiać publicznie. Skazani byli w takich warunkach przejechać tysiące kilometrów. Na dworcach kolejowych otrzymywali wrzątek – „kipiatok”, a

żywili się tym, co zabrali z domu. W wagonie był piecyk, na którym grzali sobie jedzenie. Piecyk był zawsze obwieszony pieluszkami. Wielu starych i słabych umierało. Na najbliższej stacji wynoszono ich z wagonów i pociąg jechał dalej. Czasem stał godzinami w polu. Gdy dotarli na miejsce, rozdzielono ich i przydzielono na mieszkanie do miejscowych kołchoźników. Siostry moje chwaliły miejscową ludność. Byli współczujący i życzliwi. Oni też przeszli przez piekło tego systemu. Przydzielali ich do pracy fizycznej na roli w kołchozie. Kobiety, które nigdy nie pracowały na roli, były bardzo biedne. Praca była ciężka. Kobiety zastępowały mężczyzn i musiały podołać trudom. Koleżanka moja, która skradła 2 ziemniaki i schowała je do majtek, dostała pięć lat więzienia, gdzie straciła nogę.

Polacy wieczorami zbierali się na stepie, aby tam się modlić. Opału nie dostawali wcale. Dzieci biegały po stepie kilometrami i zbierały „kiziaki”. Były to odchody zwierzęce, które suszyło się i gromadziło jako opał na zimę. Biedny był ten, kto nie zrobi sobie takiego zapasu. Zimy tam są bardzo srogie. Było wiele kobiet samotnych z małymi dziećmi. Tym było najciężej. Ale też wzajemnie sobie pomagali. Koleżanka opowiadała mi, że jej ojciec i matka poumierali kiedy ona miała 12 lat, a jej brat 6 lat i zostali sami. Zabrano ich do domu dziecka i kiedy A. Lewin przyjechał z ramienia „Związku patriotów polskich”, aby zabrać ich do polskiego domu, tak bardzo płakała i prosiła, aby ich zabrał. Trzymała go za rękaw i nie dała się oderwać. Nie wierzyła w obietnice, że po nich przyjedzie. W miejscowym domu dziecka było ich tylko dwoje polskich dzieci. Lewin wzruszony zostawił jej marynarkę na dowód, że wróci po nią. Dotrzymał słowa, bo choć sam nie przyjechał, ale przysłał po nich. Wróciła do kraju razem z bratem. Z mojej rodziny niektórzy dotarli na Bliski Wschód i tam walczyli w Polskich Siłach Zbrojnych. Niektórzy byli w Armii Kościuszkowców. Jeden z nich dotarł w swoim szlaku bojowym do Warszawy i tu już niedaleko domu rodzinnego spalił się w czołgu. Spoczywa na Powązkach. Nazywał się Jan Ceroń i był oficerem. Jego żona, która uniknęła Sybiru, wiele czasu okupacyjnego spędziła ze mną, wychowując moje dziecko.

*

Jak uniknęłam Sybiru

Dnia 4 maja 1940 r. został aresztowany mój mąż Piotr. Aresztowanie poprzedziła kilkukrotna rewizja w domu, która była przeprowadzana bardzo skrupulatnie, bo nawet otwierane były pudełeczka z literkami i cyferkami oraz liczmanami – pomocami naukowymi. Byliśmy oboje nauczycielami we wsi Nesterówka w woj. Tarnopolskim. Nawet niektóre deski w podłodze okazały się podejrzane, więc je zrywano. Wszystko pod pozorem szukania broni. Zaczęło się dla nas koszmarne życie – strach przed aresztowaniem i wywiezieniem na Sybir. Byliśmy młodym małżeństwem. Mieliśmy 4. miesięczne dziecko. W dzień pracowaliśmy w szkole, ale noce były bezsenne. Mąż miał ukryty poza domem radioodbiornik, z którego dowiadywaliśmy się o wydarzeniach w świecie. Na własne oczy obserwowaliśmy transporty Polaków na Sybir. Były to tak tragiczne widoki, że wszystkie słowa zamierały na ustach. Poprzedniego roku pracowałam we wsi Hieronimówka, gdzie mieszkała bardzo uboga ludność. Byli to chłopcy z okolicznych wiosek, którzy skorzystali z okazji parcelacji majątku ziemskiego i każdy kupił sobie kawałek ziemi, gdzie pobudował skromny dom. Niektórzy mieszkali w lepiankach bez podłogi. Organizowałam tam szkołę prywatną Towarzystwa Szkoły Ludowej i przepracowałam tam tylko jeden rok. Wieś ta na całe życie pozostała w moim sercu. Władze radzieckie potraktowały mieszkańców tej wsi jako osadników polskich i wszystkich wywieziono na Sybir do Kraju Krasnojarskiego. Serce mi Pekao na widok tych sań wiozących cały dramat tych ludzi. Za pojazdem każdym szedł żołnierz z karabinem

nastawionym do strzału. Na saniach kilka tobołków, dzieci i kobiety spuchnięte z płaczu. Mężczyźni szli obok sani. Każdy z zaciśniętymi ustami i kamienną twarzą. Boże, jak cierpiałam z nimi. Widziałam ich życie i ich ciężką pracę, aby zapewnić rodzinie znośną wegetację /o pracy w tej wsi mogłabym napisać książkę/. Teraz sanie za saniami jechały w stronę stacji kolejowej Jezierna, woj. Tarnopol, aby tam załadować ich do bydłowych wagonów, bez wody, żywności, ciepła i ubikacji, pozbawić wszystkiego, czego się dorobili ciężką pracą i wywieźć ich w nieznany kraj na poniewierkę i śmierć. Powtarzałam sobie wśród łez: „za co..., za co..., za co?” I teraz czekał mnie ten sam los. Bo była taka metoda postępowania NKWD: Młodych mężczyzn pod byle pretekstem aresztować, a kobiety z rodzinami wywieźć w głąb Rosji. I stało się: 4 maja 1940 r. zajechało na nasze podwórze auto. Wysiadło dwóch cywilnych mężczyzn i jeden wojskowy z karabinem. Po przeprowadzeniu pobieżnej rewizji aresztowali mojego męża i jeszcze czterech innych gospodarzy z tej wsi. Nie będę opisywała mojej rozpacz. Zdawało mi się, że to jakiś kataklizm, który pochłonie mnie razem z moim małżeństwem. Wieczorem położyłam dziecko na tapczanie, a sama uklękłam do modlitwy, opierając głowę o becik. Byłam tak spłakana i zboląła, że wśród moich modlitw o ratunek i pomoc, zdrzemnęłam się i miałam sen..., proroczy chyba..., ale wtedy o tym jeszcze nie wiedziałam. Zobaczyłam ogromną postać Jezusa Chrystusa z wyciągniętymi ramionami do mnie w celu podania Mu dziecka. Postać była majestatyczna, opromieniona złotym blaskiem. W chwili gdy miałam podać Jezusowi dziecko, zbudziłam się. Powtarzałam: „Boże, Boże..., nie zabieraj mi istoty najdroższej pozostałej ze mną! Boże, ulituj się, ulituj się...” Byłam w tym środowisku prawie obca, bo mieszkałam tam dopiero 9 miesięcy. Klęczałam i modliłam się, błagałam Boga o opiekę nad moim mężem. Co teraz będę robić sama z maleńkim dzieckiem...?

Męża mojego osadzono we więzieniu w Zborowie, oddalonego od nas 30 km. Przez parę dni docierałam tam z różnymi łapówkami w postaci alkoholu, zegarków, słodyczy i pieniędzy. Błagałam o podanie listu do męża lub skromnej paczki z żywnością i mydłem. Wszystko brali i obiecywali. Nigdy nic nie doręczyli. Niech im Bóg tego nie pamięta. Jednego dnia stałam pod murem otaczającym teren więzienia i czekałam na jakiś cud chyba. Zauważyłam jakieś ożywienie. Brema otworzyli i do środka wjechała ciężarówka. W tym momencie poczułam, że ktoś mnie chwyta za ramiona. „Zosia, co ty tu robisz?” – usłyszałam. Rozplakałam się. „Co ci jest, wyglądasz na ciężko chorą! Chodźmy stąd, to przekłete miejsce...” Była to moja koleżanka, której nie widziałam od zdania matury, tj. od pięciu lat nie widziałam. Za rękę odciągnęła mnie od tego muru. Odeszłyśmy w boczną uliczkę, gdzie opowiedziałam jej o swoim nieszczęściu. Tuliła mnie do siebie i pociesza. W tym czasie z podwórza więziennego wyjechała ciężarówka z więźniami. Wywożono ich do Tarnopola. Wszyscy ich widzieli, bo była odkryta, tylko ja nie widziałam jak mój mąż jechał w daleką drogę na wiele lat... Potem przez sześć lat mój mąż nie miał znaku życia ode mnie. Pan Bóg czuwał nad nim, a modlitwy moje i jego rodziców zostały wysłuchane. Wrócił po Kołymie, a w końcu po Monte Cassino do mnie i do dziecka. Rodzice jego już wtedy nie żyli...

Ale wróć teraz do moich wyczynów ukrywania się przed NKWD. Za porzucenie pracy, tzn. „prohut” była kara 6 miesięcy więzienia. Nie zwracając uwagi na to postanowiłam uciec. Wysłałam depezę do siostry do Lwowa: „Jestem sama”. Wiadomo już było, co się dzieje u mnie. Siostra natychmiast przyjechała, aby mnie zabrać. Tu dowiedziałam się, że dwie moje siostry i bratową również już wywieziono, a ich mężowie są aresztowani. W nocy, zabierając dziecko i tylko trochę bielizny, opuściłam wieś Nesterowice. Do stacji miałam 12 km. Na dworcu usiadłam w kąciku z dzieckiem, otuliłam się jak kobieta wiejska i naciągnęłam chustkę na twarz, aby mnie nikt nie poznał. Noc była zimna pomimo maja. I słyszę rozmowy młodych mężczyzn: „Czy ty wiesz, że tego profesora z Nesterowic wczoraj wywieziono do Tarnopola” Pochyliłam głowę jeszcze bardziej nad dzieckiem. Aby tylko wyjechać i skryć się... , wyjechać..., skryć się! Rodzice moi mieszkali 24 km. Od Lwowa,

posiadali mały majątek. Dom mieszkalny parterowy, typowy dworek szlachecki, otoczony parkiem i sadem. Do rodziców bałam się jechać, bo ich czekał też Sybir. Część mojego rodzeństwa z tego domu została już wywieziona na Sybir, reszta rozpiezchła się. Zostało tylko dwoje starszaków. Ale ja byłam bez Śródków do życia. Wiec zamieszkałam u rodziców, ale w stertach słomy. Ojciec mój wygrzebał taką dużą norę w stercie słomy i tam na noc mogłam się skryć z dzieckiem. Sterta stała daleko za ogrodem i sadem. Tam włąziłam jak pies do budy i wtedy ojciec maskował wejście, ale tak, byśmy się nie podusiły. W ciepłe dni spędzałam czas ukryta w stodole lub stajni. Jedzenie miałam donoszone. Najgorzej miałam z kąpielą dziecka i pieluszkami, ale moja mama prała i suszyła w ukryciu. Basia moja była wyjątkową córką, widocznie czuła niebezpieczeństwo. Kąpiel łatwo można było ukryć, bo dom miał osiem pokoi i gdy nawet ktoś obcy zjawił się, mogłam innym wejściem wymknąć się i ukryć w parku. Dlatego robiłam to późnym wieczorem, gdy nasze psy już biegały na wolności i sygnalizowały zbliżających się obcych. W dni zimne i mokre wysyłała mnie mama do różnej biedoty, abym tam przeżyła parę dni. Znam stamtąd ból ukąszenia wszy i pluskiew. Niejedną noc przesiedziałam na stole, bo zdawało mi się, że insekty zjedzą mnie. W beciku dziecka rano znajdowałam wszy. Jakże ciężki był los mojego dziecka i mój. Gdy zrobiło się już ciepło, zamieszkałam w fasoli, obok domu. Miałam dobry punkt obserwacyjny. Widziałam wszystko, co się działo wokół. Wieś była trochę oddalona. Ojciec mój był bardzo poważanym i lubianym człowiekiem. Nigdy nikomu nie odmówił porady i pomocy. Ale teraz wszyscy bali się i jakby odsunęli się od niego. Był jak wyklęty i skazany. We wsi tej ukrywało się więcej takich pań jak ja: żona v-ce starosty z Dubna z małym dzieckiem. On został zamordowany we więzieniu we Lwowie na ul. Łąckiego w chwali gdy wojska radzieckie opuszczały Lwów. Żona oficera policji - przeżyła. Żona podoficera 6 p.p. i żona oficera, który był w oflagu w Woldenbergu, z dzieckiem – przeżyli. Najbardziej godna współczucia była Gienia, której wszystkich najbliższych wywieziono na Sybir, a ona zupełnie samotna została, bo przez przypadek nie było jej w domu...

Pewnego razu dziecko moje dostało silnej gorączki. Leciąło mi z rak. Byłam jak pies zaszczuty, który bał się widoku człowieka. Siedziałam z dzieckiem na kolanach jak skamieniała, a jego rączki były mokre od moich łez. Choroba dziecka minęła szybko, ale też fasola kończyła się. Noce znowu były chłodne. Rodzice nadal byli na miejscu. Nie było już nikogo z młodych, aby można ich było wywieźć na Sybir. Później moim rodzicom skonfiskowano wszystko i wypędzono do wsi. Tym razem mnie złożyła choroba. Dostałam silnej anginy i wysokiej gorączki. Spanie na polu było niemożliwe. Mama kazała mi położyć się do łóżka. Leżałam w gorączce, a dziecko łąziło po mnie. Ktoś jednak zauważył mnie, albo usłyszał głos dziecka i natychmiast zjawiono się NKWD z Kulikowa. „Kto ty jesteś? – córka,,; skąd przyjechałaś? – z Tarnopola; co tam robisz? – jestem nauczycielką; po co przyjechałaś? – odwiedzić rodziców; kiedy wracasz? - jak tylko wyzdrowieję...” - i odjechali. Wrócili na drugi dzień, aby sprawdzić. Już mnie nie było. Chora wstałam. Pojechałam do Lwowa. Dziecko mama ukryła. Zaryzykowałam. Poszłam szukać pracy. Zgłosiłam się do Oświaty, gdzie był inspektorem Rosjanin Kluczko, dekret miałam z dnia 24.X.1940 r. I znowu podobna rozmowa: „Dlaczego nie pracujesz? – mam małe dziecko. Gdzie jest twój mąż? – nie wiem, poszedł na wojnę i nie wrócił. Czy już pracowałaś? – tak, przez rok przed wojną...?” Bolszewik popatrzył na mnie i nie wiem, co wpłynęło na niego: czy mój zbiedzony wygląd, czy rozgorączkowana twarz, a może mój wiek 25 lat, tak że zawołał sekretarkę, aby napisała dekret mianowania na wieś Kościejów, pow. Lwów. Tam przeżyłam do końca wojny, gdzie całkowicie oddałam się pracy w AK, w tajnym nauczaniu, jako łączniczka i kolporterka prasy podziemnej i instruktorka służby sanitarnej. Często też przewoziłam broń i żywność do Lwowa dla moich kochanych profesorów, którzy przymierali głodem. Stale przemierzałam pieszo tych 18 km., aby nieść pomoc do przetrwania i walczyć o Polskę. A mój śp. Dyrektor Seminarium Nauczycielskiego Sióstr Felicjanek Edward Horwath mówił do mnie: „Nie

rozpaczaj, twój mąż wróci..., Polska idzie do nas siedmiomilowymi krokami”. Niestety, Polska przyszła, ale jaka?. Przyjdzie jeszcze Polska, w to wierzę i będę wierzyła do końca moich dni. Polska Ludowa przyniosła mi najstraszniejszy ból i łzy, bo krzywdę robili „Polacy”, a więc niby swoi, a żonę oficera trzeba było zniszczyć, a moich straconych młodych lat nikt mi nie zwróci, ani nie zapłaci.

*

Wybuch wojny niemiecko - radzieckiej

Wybuch tej wojny 22 czerwca 1941 roku zastał mnie we wsi Smykowce pod Tarnopolem u moich teściów (Marii i Stanisława Gawliczów – x BL), do których wyjechałam z dzieckiem na wakacje. Nikt absolutnie nie spodziewał się tej wojny. Było to jak grom z jasnego nieba. Hitler zaopatrzony w potęgę militarną i swoje zwycięstwa, w sojusz z Włochami i Japonią, uderzył teraz na ZSRR, bo wiedział, że to zwycięstwo da mu panowanie nad światem.

Była niedziela i nad naszą wsią pojawiły się samoloty. Było ich coraz więcej. Myślałam, że to manewry, ale teść mój Stanisław, który przeżył I wojnę światową i Sybir, mówił, że to wygląda na wojnę. Bardzo szybko Niemcy już byli w okolicy Tarnopola. Każdy z nich był wypielęgowany, elegancki, pachnący. Każdy oficer miał swój wóz wypełniony dobrami: wino, papierosy, konserwy, czekolady a nawet psy. Pod Tarnopolem we wsi Gaje było małe lotnisko wojskowe. Było ono w niedużej odległości od nas. Nad tym lotniskiem rozegrała się bitwa lotnicza. W pewnym momencie pojawiło się w powietrzu tyle samolotów, że z dnia zrobiła się noc. Ziemia drżała, zapach dymu i prochu zatykał gardło. Ogłuszający łoskot uderzał w głowę, a podmuchy powietrza przygniatały wszystko do ziemi. Chwilami było jasno jak od piorunów. Gwizd, warkot i świst stwarzały piekło. Zdawało się, że to moce piekielne zaczęły swój taniec. Świat oszalał. Dym, huk i ryk silników rozsadały czaszkę... Wybiegłam z dzieckiem z domu, aby ukryć się w schronie. Wokół świstały kule. Pies przy mojej nodze zginął od kuli. Ja przebiegłam kilka metrów i dopadłam do schronu. Dalej szalały moce piekielne, a ziemia drżała. Modliłam się i tuliłam dziecko do siebie. Walka nie trwała długo - najwyżej 20 – 30 minut. Następnie zaległa śmiertelna cisza, tylko od czasu do czasu słychać było jeszcze wybuchy pocisków. Byłam tak wyczerpana nerwowo i fizycznie, że nie mogłam się ruszyć ani mówić. Łzy jak groch leciały mi z oczu..., żyjemy! A nasza wieś w różnych punktach paliła się. Było wiele rozbitych domów, okaleczonych drzew, lejów po bombach i wiele trupów. Rodzina mojego męża ocalała.

Wojsko radzieckie w popłochu uciekło, zostawiając samochody a nawet ogromne czołgi. Jeden czołg wbił się w brzeg rzeki i tak pozostał. Po bitwie w krótkim czasie wojsko niemieckie było już we wsi. Ulice wypełniły się samochodami i motocyklami. Żołnierze robili wrażenie półprzytomnych, jakby byli pod wpływem alkoholu lub jakiegoś narkotyku. Byli jak w transie oszołomienia.

U moich teściów zatrzymała się grupa młodych nauczycieli, którzy powracali do domów z kursu wakacyjnego w Buczaczu. Front ich tutaj zatrzymał. Jedna z młodych nauczycielek uśmiechnęła się do Niemca. Wystarczyło to, abyśmy w efekcie tego całą noc spędziły w zaroślach i malinach. Żołnierz frontowy jest straszny. Gdy się zatrzymuje na odpoczynek, chce doznawać wszelkich uciech cielesnych, bo wie, że jutro może już nie żyć. Cała grupa oficerów zwała się do teściów, do ładnych pańienek. Przynieśli wino, słodczyce, czekolady i zaczęli bardzo grzecznie rozmawiać. Ale śpieszno im było, bo w każdej chwili mógł nadejść rozkaz wymarszu. Postój miał być krótki. Kiedy zaczęli się bez ogródek zabierać do kobiet, te z krzykiem wyrwały się i uciekły w ciemną noc. Teściowie moi już położyli się spać w drugim pokoju. Więc ja schowałam się między nimi. Kiedy zobaczyłam, że nie ma żartów, wyskoczyłam przez okno i przesiedziałam w zaroślach nad rzeką do rana.

Niebezpieczny jest żołnierz frontowy. Rano zobaczyłam tylko jednego z nich, który spał spity w przedpokoju na podłodze. Zabrali go stamtąd inni żołnierze.

Przez wieś moich teściów - Smykowce przepływa rzeka (...) dopływ Gnieznej. Na jej brzegu zobaczyłam scenę, która długo nie mogła się pomieścić w mojej głowie. Otóż w grupie żołnierzy niemieckich znalazło się kilka młodych, ładnych Żydówek. Stały na brzegu, a żołnierze naigrawali się z nich. W pewnym momencie jeden wrzucił do rzeki skórkę chleba. Wszystkie wskoczyły do wody, aby wyłowić ten kęs żywności. Jak bardzo musiały być głodne, aby w ubraniach i bez namysłu wskoczyć w nurt bystrej rzeki. Żołnierze śmiali się głośno. Uciekłam stamtąd, aby nie patrzeć na nędzę życia ludzkiego. Niemieccy żołnierze młodzi, wspaniale wyposażeni i uzbrojeni, znęcali się nad swoimi ofiarami. Nie mogłam uwierzyć, że to lśniące wojsko jest bez sumienia i serca. Nie przeczuwałam jeszcze komór gazowych, masowych egzekucji i niemieckich obozów koncentracyjnych. Teraz było to moje pierwsze zetknięcie się z bestialstwem faszyzmu. Podczas odpoczynku u nas wszyscy uczyli się języka rosyjskiego. Przygotowywali się do objęcia władzy w ZSRR. Tych „pięknych żołnierzy” zobaczyłam później, gdy tysiącami pędzono ich do niewoli. Już nie byli podobni do siebie: brudni, zarośnięci, wynędzniali, ze spuszczoneymi głowami - nie robili wrażenia panów świata.

Jeńców radzieckich widziałam mało; oni nie poddawali się tylko ginęli „... za rodzinę, za Stalina”. Czy tutaj, czy tam na wschodzie czekała ich śmierć. Nędznie byli odziani i nędznie karmieni. Jedli ryby i kaszę jaglaną, gdy Niemcy objadali się boczkami, szynką, popijali winem i palili luksusowe papierosy. Niemcy, idąc na Rosję, byli pewni zwycięstwa. Szybko posuwali się na wschód.

Po odejściu wojska ze Smykowiec ja wróciłam do Kościejowa. Zgłosiłam się do pracy w mojej szkole i od dnia 1 października 1941 r. zaczęłam uczyć dzieci. Otrzymałam tę pracę jako jedyny żywiciel rodziny. Zaczęła się okupacja niemiecka...

*

Cuda na drodze

Była zima. Wyszłam ze szkoły (w Kościejowie) o brzasku. Droga do Lwowa wynosiła 18 km. Meldunek zaszyłam w kołnierz futerka i ruszyłam dziarsko w drogę. Nic nie zjadłam, bo wyszłam z domu cichutko, aby nie zbudzić dziecka. Na dworze poczułam silny mróz, ale to żadna przeszkoda. Śpieszyłam się bardzo, aby nikt mnie nie zobaczy, że znowu idę do Lwowa. Do celu dotarłam przed południem. Musiałam oddać raport, w innym miejscu zabrać rozkazy i zabrać prasę. Dzień był krótki. Nikt mi nie dał nawet ciepłej herbaty. Nie myślałam o tym. Koniecznie chciałam odwiedzić jeszcze mojego dyrektora. Gdy wszystko miałam już załatwione i ukryte, zapadł zmierzch. Wyszłam ze Lwowa normalną trasą: Zboiska, Doroszów... Po przejściu kilku kilometrów poczułam duże zmęczenie. Buty narciarskie stały się bardzo ciężkie. Droga była pusta. Mróz silny i padał drobny śnieg. Było cicho i głucho. Przede mną jeszcze daleka droga. Jestem niedaleko wsi Doroszów, która leży w pobliżu szosy. Muszę odpocząć, bo po moim bieganiu po całym Lwowie, nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Jest i zimno, dostaję dreszczy. Postanawiam odpocząć. Usiadłam na chwilę na przydrożnym słupku. Otuliłam się w futerko, postawiłam kołnierz, nogi okryłam futerkiem. Nachodziły mnie majaki, zdawało mi się, że jestem w domu razem z moim dzieckiem. Czuję się lepiej. Patrzę jak ładnie pada śnieg. Postanawiam wstać i iść dalej, ale tak mi dobrze. Jeszcze chwilę posiedzę... Wtedy usłyszałam głos dzwonek – dziwne, pomyślałam, na tym pustkowiu w ciszy i śniegu. Jak miło... Istotnie, zbliżały się do mnie sanki i lekko dzwoniły janczary. Usłyszałam krzyk: „Boże, to nasza pani...” Jakieś ręce chwyciły mnie i uniosły, aby ułożyć na słomie na saniach. Okazało się, że to gospodarz z naszej wsi wracał do domu. Żona jego cuciała mnie, a on zdjął z siebie kozuch, aby mnie

otulić. Zaciął konie i pomknęliśmy w kierunku wsi. Oboje ratowali mnie. Do szkoły zjechałam żywa, a tu kobiety ratowały mnie gorącym mlekiem i nacieraniem śniegiem. Stwierdzono u mnie tylko odmrożone palce u nóg. Pewnie byłam bardziej głodna i słaba, niż zamarznięta. Dobry Duch czuwał nade mną, ponieważ miałam małe dziecko. Ono czekało na mój powrót, nie mogłam go zostawić całkowitą sierotą, bo ojciec był na Sybirze i los jego był nam nieznany.

Opieka Boża roztoczyła się nade mną także innym razem. Korzystałam z każdej okazji komunikacyjnej, aby dostać się do Lwowa. Jechałam z dwiema kobietami i gospodarzem saniami. Cel był wiadomy: rozkazy i meldunki. Tym razem musiałam jeszcze oddać pistolet. Miałam go oddać w punkcie kontaktowym. Wszystko miałam dobrze ukryte, ale przy rewizji osobistej łatwo było wykryć.

Na drodze zatrzymali nas uzbrojeni Niemcy. Krzycząc: „weg..., weg..., heraus...”, i kazali nam zejść z sań. Zrobili rewizję na saniach, a później osobistą u kobiet i mężczyzny. Ja stałam z boku. Serce miałam w gardle. Zamarłam ze strachu. Byłam pewna, że śmierć mnie nie minie. O dziwo..., Niemiec zapytał mnie, czy jestem nauczycielką? Tak – odpowiedziałam mu po niemiecku. Zasalutował mi pięknie i kazał jechać... Gdy odjechalismy kilkanaście metrów – rozplakałam się jak dziecko. Zawsze byłam pewna. Zawsze byłam pewna, że jestem silna i pokonam wszystkie obawy. Nieprawda, gdy człowiek staje przed śmiercią, odwaga jego znika. Okazało się, że Niemcy szukali masła, słoniny, jaj i mięsa. W ogóle żywności. W tym czasie we Lwowie był wielki głód. Przydziały kartkowe były głodowe. Okoliczni chłopcy po kryjomu dowozili trochę żywności i zamieniali na odzież, meble itp. Kwitł handel wymienny.

Moje częste wyjazdy do Lwowa zaczęły interesować niektórych ludzi. Musiałam zmieniać trasy i środki lokomocji. Często szłam lasami przez Zawadów i Brzuchowice. Czasami w polu lub lesie czekałam na wieczór, aby wejść do wsi. Byłam łączniczką, kolporterką i sanitariuszką AK.

Zofia Gawlicz